



Na oczach wszystkich śmiała ściąć drzewo w niecałą godzinę...

Rozdział II BURZYCIELE PORZĄDKU

Jonatan szedł kilka godzin, nie napotykając nigdzie śladu życia. Wtem coś poruszyło się w leśnym gąszczu i ledwie widoczną ścieżką pomknęło jakieś niewielkie stworzenie z ogonem w rude prążki. „Kot – pomyślał Jonatan. — Może zaprowadzi mnie do jakichś ludzi?” Zanurzył się w gęste listowie.

Ledwie zdążył strącić z oczu plażę i zagłębić się w dżungłę, gdy usłyszał przenikliwy krzyk. Przystanął i przechylił głowę, chcąc odkryć, skąd dochodzi odgłos. Dokładnie na wprost rozległo się kolejne wołanie o pomoc. Przedzierając się przez kłębowisko chaszczy i pnączy, które porastały lekkie wzniesienie terenu, doznał do obszerniejszej ścieżki.

Na gwałtownym zakręcie dróżki wpadł prosto na jakiegoś zwałistego mężczyznę. — Z drogi, durniu! — ryknął tamten, odganiając go jak natrętnego komara. Oszołomiony Jonatan uniósł wzrok i zobaczył, jak dwóch mężczyzn wlecze za sobą wrzeszczącą i wierzgającą młodą kobietę. Zanim zdążył odzyskać oddech, tamtych troje znikło mu z oczu. Rzecz jasna sam jeden nie dałby rady uwolnić kobiety, pobiegł więc z powrotem ścieżką w poszukiwaniu pomocy.

Dotarł do polany, na której grupa ludzi zebranych wokół potężnego drzewa uderzała weń kijami. Jonatan podbiegł do mężczyzny, który wyglądał na nadzorcę.

— Proszę pana, pomocy! — wysapał. — Jacyś dwaj mężczyźni porwali kobietę! Musimy jej pomóc!

— Nie przejmuj się, chłopcze! — odburknął nadzorca.

— Tamta kobieta została po prostu aresztowana. Daj spokój i idź swoją drogą, mamy tu pełne ręce roboty.

— Aresztowana? — powtórzył zdyszany Jonatan. — Jakoś nie wyglądała mi na, ach, na przestępcę. — „A jeśli rzeczywiście zrobiła coś złego, to dlaczego tak rozpaczliwie wołała o pomoc?” — pomyślał. — Bardzo przepraszam, ale czy mógłby mi pan powiedzieć czym zawiniła?

— Że co? — mężczyzna wyraźnie zaczynał tracić cierpliwość. — Skoro tak ci na tym zależy, to musisz wiedzieć, że groziła odebraniem pracy wszystkim robotnikom, których tu widzisz.

— Groziła odebraniem pracy? A to w jaki sposób? — nie ustępował Jonatan.

Nadzorca obrzucił ignoranta piorunującym spojrzeniem i kazał mu podejść do ludzi, którzy okładali kijami pień drzewa.

— Jak widzisz, jesteśmy drwalami — obwieścił z dumą. — Powalamy drzewa, obijając je takimi oto kijami. Czasami setka chłopów, pracując bez przerwy, potrafi obalić takie drzewo w niecały miesiąc.

Mężczyzna wyjął wargi i starannie strzepnął jakiś pyłek z rękawa eleganckiej marynarki.

— Ta Drawbaugh* przysłała dziś rano do pracy z kawałkiem zaostrego metalu, przymocowanym do kija. Na oczach wszystkich śmiała ścinać drzewo w niecałą godzinę i to bez niczyjej pomocy! To się nie mieści w głowie! Nie wolno dopuścić do takiego zagrożenia naszej tradycji zawodowej.

Jonatan wytrzeszczył oczy, przerażony karą, jaką wymierzono tej kobiecie za twórcze myślenie. W miasteczku Jonatana wszyscy używali do ścinania drzew pił i siekier. Nawet on sam zdobył w ten sposób drewno na swoją łódkę.

— Ale przecież taki wynalazek — zawołał — pozwala każdemu, nawet niezbyt silnemu człowiekowi, ścinać drzewo. Czy dzięki temu ścinanie drzew nie stanie się szybsze i tańsze?

— Coś ty powiedział? — ryknął wściekły nadzorca. — Jak w ogóle może komuś powstać w głowie myśl, żeby popierać takie pomysły? Do tak szlachetnej pracy nie sposób dopuścić pierwszego lepszego wymocz-

*(aut.) Daniel Drawbaugh był wynalazcą wielu ciekawych urządzeń jak choćby maszyny do sortowania monet czy zegara z magnetycznie kontrolowanym wahadłem. Uważany przez wielu za pierwszego odkrywcę telefonu - na dziesięć lat przed Abrahamem Bellem. Czy Bell był pierwszym i jedynym wynalazcą telefonu czy nie, to był na pewno naukowcem, w odróżnieniu do Georga Seldena, który pojawi się w rozdziałach XXXI i XXXII.

ka, który wpadnie na taki „światny” pomysł.

— Ale, proszę pana — Jonatan starał się zachować spokój — ci dobrzy drwale mają ręce zdadne do pracy i głowy nie od parady. Gdyby tak skrócić czas potrzebny do ścinania drzew, mogliby go wykorzystać na inne zajęcia. Mogliby wytwarzać szafy, stoły, łodzie, a nawet całe domy!

— Słuchaj no ty — spojrzał groźnie mężczyzna — celem pracy jest zapewnienie stałego i bezpiecznego zajęcia, a nie produkowanie nowych towarów. — Ton jego głosu stał się wyjątkowo nieprzyjemny — Mówisz jak jakiś burzyciel porządku. Każdy, kto popiera tę babę z piekła rodem, jest utrapieniem. Skąd ty w ogóle jesteś?

— Ja nawet nie znam panny Drawbaugh i nie mam nic przeciwko porządkowi, na pewno ma pan rację. No cóż, na mnie chyba już czas — to mówiąc, Jonatan pośpiesznie zawrócił i poszedł tą samą co przedtem ścieżką. Pierwsze spotkanie z mieszkańcami wyspy mocno go zdernowowało.





O nie, staw nie jest mój. Należę do wszystkich, tak jak potoki i lasy.

Rozdział III

TRAGEDIA WŁASNOŚCI PAŃSTWOWEJ



iegnący przez gęstą dżunglę szlak stał się nieco szerszy. Słońce było w zenicie, gdy Jonatan dotarł do niewielkiego stawu. Nabierając do rąk wody, usłyszał za plecami ostrzeżenie:

— Na twoim miejscu nie pilbym tej wody.

Jonatan obejrzał się i zobaczył staruszka klęczącego przy brzegu i czyszczącego kilka drobnych rybek. Obok stał koszyk, kołowrotek i trzy wbite w muł wędkę, których żyłki zanurzone były w wodzie.

— Biorą? — zagadnął uprzejmie młodzieniec.

— Eee, gdzie tam — odparł staruszek rozdrażnionym głosem, nie unosząc nawet głowy. — Dzisiaj udało mi się złowić tylko te drobiazgi.

Kroił je na płaty i wrzucał do rondla zawieszonoego nad dymiącym ogniskiem. Zapach smażących się ryb był rozkoszny.

Jonatan zauważył kosmatego kota w rude prążki, który podążał za nim od jakiegoś czasu, jak dobiera się do resztek ryby. Jego pyszczek ociekał wodą.

— A jaką założył pan przynętę? — spytał Jonatan, który sam był doskonałym wędkarzem.

— Przynętę miałem dobrą, synku — staruszek spojrział na niego z zadumą. — To najlepsze ryby w tym bajorze.

Jonatan wyczuł, że tamten nie jest w nastroju do rozmowy, więc uznał, że lepiej na razie zamilknąć. Po pewnym czasie starzec kiwnął na niego głową, zachęcając, żeby usiadł przy ogniu i poczęstował się

rybą z kromką chleba. Jonatan rzucił się łapczywie na jedzenie, choć miał wyrzuty sumienia, że pozbawia rybaka części bardziej niż skromnego obiadu. Po posiłku Jonatan nie odzywał się słowem, czekając, aż starszek zacznie swoją opowieść.

— Przed laty można tu było złowić naprawdę takie ryby — rozpoczął z nostalgią — ale wszystkie wyłapali. Te małe płotki – to wszystko, co zostało.

— Ale te małe chyba kiedyś urosną? — Jonatan patrzył na przybrzeżne szuwary, gdzie mogły żerować całkiem spore sztuki.

— Nie da rady! Wędkarze, którzy tu przychodzą, wyłapią je, jeszcze gdy będą młode. Co gorsza, ludzie wyrzucają śmieci po tamtej stronie stawu. Widzisz ten gruby kożuch na wodzie?

— A dlaczego zabierają panu ryby i wrzucają odpadki do pańskiego stawu? — Jonatan nic z tego nie rozumiał.

— O nie, staw nie jest mój. Należy do wszystkich, tak jak potoki i lasy.

— Czyli te ryby też należą do wszystkich, ze mną włącznie? — dopytywał się Jonatan, nie czując już aż takich wyrzutów, że jadł ryby, których nie złowił i nie przygotował.

— Niezupełnie — odparł starszek — bo to, co należy do wszystkich, nie należy właściwie do nikogo. Chyba że ryba nadzieje się na mój haczyk, to wtedy jest już moja.

— Nie pojmuję. — Jonatan zmarszczył czoło i powtórzył z namysłem mówiąc trochę do siebie, a trochę do wędkarza:

— Ryby należą do wszystkich, czyli do nikogo, chyba że któraś nadzieje się panu na haczyk. Wówczas taka ryba należy do pana? A czy jakoś troszczy się pan o nie, dokarmia je jakoś?

— Jeszcze czego! — drwiąc odparł rybak. — Po co mam zajmować się rybą, którą ktoś może lada dzień złowić i zjeść? Starczy, że ktoś złapie rybę albo zanieczyści staw śmieciami, a wszystkie moje starania pójdą na marne.

Po czym, spoglądając z żalem na wodę, dodał: — Szczerze mówiąc bardzo chciałbym być właścicielem tego stawu. Wtedy naprawdę opiekowałbym się rybami. Troszczyłbym się o nie, tak jak jeden hodowca o bydło w sąsiedniej dolinie. Hodowałbym najzdrowsze i najtłustsze ryby w okolicy, w pobliże stawu nie przedostałby się żaden kłusownik czy śmieciarz. Na pewno bym tego dopilnował.

— A kto teraz zajmuje się stawem? — przerwał mu Jonatan.

— Rada Lordów — rysy wędkarza stężały. — Wybierają ich co cztery lata, a oni mianują zarządcę stawu i odpłacają go sówicie z moich podatków. Ma on zadanie pilnować, żeby nie wylapywano zbyt wielu ryb i nie zanieczyszczano wody odpadkami. Co najzabawniejsze, znajomi Lordów łowią tu najwięcej i wyrzucają całe góry śmiecia.

Usiedli i przyglądali się, jak wiatr tworzy wzory z fal na srebrnym stawie. Jonatan spojrział na siedzącego w napięciu żółtego kota, zapatrzonego w rybią głowę na talerzu. Rzucił mu ją, a kot złapał ją zgrabnie jedną łapą. Kocisko wyglądało zawadiacko, z jednym uchem obszarpanym, zapewne w jakiejś minionej bitwie.

Przemyślawszy dokładnie słowa wędkarza, Jonatan zapytał:

— Czy staw jest dobrze zarządzany?

— A co, nie widać? — burknął tamten. — Spójrz tylko na rozmiar tych rybek, które złowiłem. Wygląda to tak, jakby kurczyły się wraz ze wzrostem pensji zarządcy.





Ciężar przestępstwa nie ma tu nic do rzeczy...

Rozdział XIV

ESKALACJA PRZESTĘPCZOŚCI

Ladowolony z poznania przyjaciółki, Jonatan szedł jak oszłomiony. Nagle uświadomił sobie, że powinien uważniej się rozglądać, bo inaczej nie uda mu się jutro trafić w to samo miejsce.

Natknął się na niewiele starszego od siebie policjanta, który siedział na ławce i czytał gazetę. Jonatan stęzał na widok wyprasowanego, czarnego munduru i wypolerowanej broni, ale uspokoił go otwarty wyraz twarzy młodzieńca. Może dowie się, jak dojść do portu. Policjant nie mógł oderwać się od lektury, więc nasz bohater zajrzał mu przez ramię i zobaczył wielkie nagłówki: „LORDOWIE ZATWIERDZAJĄ KARĘ ŚMIERCI DLA NIELEGALNYCH FRYZJERÓW”!

— Kara śmierci dla fryzjerów? — wykrzyknął zdumiony Jonatan.

Policjant uniósł wzrok.

— Bardzo przepraszam — sumitował się Jonatan — nie chciałem panu przeszkodzić, ale ten nagłówek od razu rzucił mi się w oczy. Czy z tą karą śmierci to jakiś błąd w druku?

— Zaraz się przekonamy — odparł tamten i zaczął czytać na głos:

— „Rada Lordów uchwaliła karę śmierci dla wszystkich, których przyłapie się na obcinaniu włosów bez zezwolenia”. Cóż w tym takiego dziwnego?

— Czy to nie zbyt surowa kara za tak drobne wykroczenie? — zaczęła ostrożnie Jonatan.

— Nie za bardzo. Kara śmierci to podstawowa sankcja we wszyst-

kich przewidzianych prawem przypadkach. Ciężar przestępstwa nie ma tu nic do rzeczy.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że uśmiercilibyście kogoś za to, że obcina włosy bez zezwolenia? — ze zdumienia oczy Jonatana rozszerzały się coraz bardziej.

— Jak najbardziej — odparł policjant i stanowczym ruchem poklepał pistolet. — Do takich sytuacji dochodzi jednak bardzo rzadko.

— Dlaczego?

— Na wstępie zakłada się, że następuje eskalacja każdego przestępstwa, czyli że kara winna wzrastać w miarę coraz silniejszego oporu przestępcy. I tak na przykład, jeżeli ktoś strzyże kogoś bez zezwolenia, skazuje się go na grzywnę. Jeżeli nie zapłaci lub dalej będzie uprawiał swój proceder, zostanie aresztowany i osadzony za kratkami.. A jeżeli — ciągnął coraz poważniejszym tonem — stawi opór, narazi się na coraz surowsze kary i — tu policjant ponuro zmarszczył brwi — może się nawet zdarzyć, że zostanie zastrzelony. Im większy opór, tym większej siły trzeba użyć przeciw niemu..

— Czyli praktycznie za każde wykroczenie grozi w końcu śmierć? — wywód policjanta wprowadził Jonatana w przynębenie. — Ale przecież kara śmierci powinna być zarezerwowana dla najbardziej brutalnych zbrodni, takich jak morderstwa i gwałty! — odważył się dodać głosem pełnym nadziei.

— Niekoniecznie — odparł funkcjonariusz. — Prawo reguluje cały zakres życia prywatnego i gospodarczego. Setki gildii zawodowych chroni swoich członków za pomocą zezwoleń tego typu. Drwale, stolarze, lekarze, hydraulicy, księgowi, murarze i prawnicy — do wyboru, do koloru, a wszyscy nienawidzą nielegalnej konkurencji.

— W jaki sposób chronią ich te zezwolenia?

— Liczba licencji jest ograniczona, a wstąpienie do cechu poprzedza drobiazgowy rytuał. W ten sposób eliminuje się nieuczciwą konkurencję z zewnątrz, intruzów z nowymi dziwacznymi pomysłami, zbyt ni zapał do pracy, nieludzką wydajność czy zaniżanie cen. Taka pozbawiona skrupułów konkurencja zagraża tradycjom zawodowym naszych najbardziej szacownych i fachowych gildii.

— A czy udzielanie zezwoleń chroni klientów? — Jonatan chciał otrzymać jasną odpowiedź.

— No, tak przynajmniej jest napisane w tym artykule — odparł policjant, przenosząc wzrok na gazetę.

— „Zezwolenia oddają monopol w ręce gildii, które dzięki temu mogą chronić klientów przed złą jakością produktami i koniecznością dokonywania zbyt wielu wyborów.

Mundurowy z dumą poklepał się po torsie:

— I to ja pilnuję monopolu.

— To monopole są pożyteczne? — dopytywał się młodzieniec.

— Bo ja wiem? — policjant znów opuścił gazetę. — Ja tu tylko wykonuję rozkazy. Jak trzeba, to je chronię, jak trzeba — likwiduję.

— To co jest słuszne — monopol czy konkurencja?

— To już nie moja rzecz — wzruszył ramionami tamten. — Już tam Rada Lordów wie, kto jest posłuszny, a kto nie. Jak każą mi w kogoś wycełować broń, to...

Widząc niepokój na twarzy Jonatana, policjant dorzucił:

— Tak bardzo się nie przejmuj, karę śmierci wykonujemy naprawdę rzadko. Opór stawiają naprawdę nieliczni, jako że skutecznie uczymy posłuszeństwa wobec władzy. Ludzie boją się o tym nawet pomyśleć, tak że mój szef, oficer Stuart, nazwał to „Niewidzialną bronią.”*

— Czy użył pan kiedykolwiek tego pistoletu? — zapytał młodzieniec, nerwowo spoglądając na kaburę.

— Na przestępcę? — policjant wyćwiczonym ruchem wyjął pistolet i pogładził go po lśniącej lufie. — Tylko raz. — Otworzył komorę, spojrzął na bębenek a zamykając, obrzucił broń wzrokiem pełnym podziwu. — Cud tutejszej techniki. Rada dokłada wszelkich starań, żeby wyposażać nas we wszystko, co najlepsze, w celu spełnienia naszej szlachetnej misji. Tak, tak, ja i ten pistolet przysięgaliśmy chronić życia, wolności i własności każdego człowieka na tej wyspie.

— Kiedy go pan użył? — zapytał Jonatan

— Że też tak ci na tym zależy — funkcjonariusz zmarszczył brwi. — Jestem na służbie od ponad roku, a broni użyłem dopiero dzisiaj rano. Jakaś stara kobieta zwariowała i chciała się rzucić na brygadę robotników, którzy burzyli jej dom. Mówiła coś o odebraniu swojego „własnego” domu. Cóż za samolubna kutwa!

Serce zamarło Jonatanowi. Przypomniał sobie elegancki biały dom. Czyżby to ta sama kobieta, którą dzisiaj spotkał? Policjant nie zwrócił

*(aut.) Niewidzialna broń odnosi się do groźby użycia siły fizycznej przeciw tym, którzy odmawiają stosowania prawa, nakładanego przez władze. Ludzie rzadko opierają się prawu aż do samego końca, i mało kto rozumie, że ostateczną karą za łamanie każdego nałożonego prawa jest więzienie albo śmierć. Dlatego „broń” stojąca za prawem jest „niewidzialna”.

uwagi na jego przerażoną twarz i ciągnął dalej:

— Początkowo starałem się to jej wyperswadować. Dokumenty się zgadzały: dom miał zostać zburzony, gdyż w tym miejscu ma stanąć Park Ludowy pani de Flanelle.

— I co się stało? — wykrztusił młodzieniec.

— Usiłowałem przemówić jej do rozsądku. Przekonywałem, że na pewno skończy się na jakimś niewielkim wyroku, gdyby tylko zechciała spokojnie pójść ze mną. Ale kiedy nie chciała usłuchać i kazała wynosić się z jej ziemi, było jasne jak słońce, że stawia opór funkcjonariuszowi. Proszę sobie wyobrazić co za bezczelna jęzda!

— O, tak — westchnął Jonatan — bezczelna.

Zapadła cisza. Policjant czytał gazetę, zaś nasz bohater stał zamyślony i trącał nogą kamień. W końcu zapanował nad emocjami i spytał:

— Czy w mieście można kupić taki pistolet?

— Co to, to nie — odparł policjant, przewracając stronę. — Mógłbyś zrobić komuś krzywdę.



Im bliżej było centrum miasta, tym więcej kręciło się ludzi. W pewnej odległości za Jonatanem podążał Myszak. Ten kot wiedział, czego chce – złapać każdego szczura lub dobrać się do każdego jedzenia, jakie mu się napatoczy. Przemierzał trzy razy więcej drogi niż Jonatan, myszkując po zaułkach i śmietnikach. Ruda sierść mierzwiła się i okrywała kurzem, mimo że ciągle ją czyścił. Pochłonięci własnymi sprawami, elegancy mężczyźni szybkim krokiem lub posuwając się żwawo na kolanach, przemierzali ulice, aby dojść do im tylko wiadomych celów. Gdy Jonatan przechodził przez rozległy plac, ujrzał starca kłócącego się zażarcie z młodą kobietą. Przeklinali, przekrzykując się nawzajem, wymachiwali rękami, a od czasu do czasu tupali z niepohamowanej wściekłości. Młodzieniec, ciekawy powodu awantury, przyłączył się do małej grupy widzów otaczających parę. Gdy zjawiała się policja, by ich rozdzielić, Jonatan zagadnął stojącą obok wątłą staruszkę, wspartą na lasce.

— O co im poszło?

Twarz i dłonie kobiety okrywały głębokie zmarszczki. Uważnie przyjrzała się młodzieńcowi, by odpowiedzieć cichym, łamiącym się głosem:

— Ci awanturnicy od lat wyklócają się o książki z Biblioteki Rady. On zawsze powtarza, że pełno w nich pornografii i niemoralnych scen. Chciałby, żeby wszystkie te książki spalono. Kobieta wyzywa go od namiętnych purytanów.



Płacim za tę swoją biblioteczkę, kiedy o tobie ptaszki jeszcze nie ćwierkały!

- Więc chciałyby przeczytać te książki?
- Niezupełnie — wtrącił się kolejny świadek kłótni, klęczący w pobliżu wysoki mężczyzna, obok którego stała mała dziewczynka. — Jej nie podobają się inne książki. Twierdzi, iż roi się w nich od rasistowskich uprzedzeń i seksizmu.
- Tatusiu, co to jest „seksizm”? — zapytała dziewczynka, ciągnąc mężczyznę za ramię.
- Później, kochanie. Jak już mówiłem — podjął mężczyzna — kobieta domaga się wyrzucenia z biblioteki owych seksistowsko—rasistowskich utworów i zakupienia dzieł z listy, którą sama sporządziła.
- Policjanci zdążyli już zakuć obydwójce awanturników w kajdany i teraz wlekli ich ulicą.
- Przypuszczam, że zatrzymano ich za zakłócanie porządku? — westchnął Jonatan kręcąc głową.
- Ależ skąd! — zaśmiała się staruszka. — Aresztowano ich za odmowę płacenia podatku bibliotecznego. Zgodnie z prawem, każdy musi płacić za wszystkie książki, bez względu na to, czy mu się podobają, czy nie.
- Naprawdę? — zdziwił się Jonatan. — A dlaczego policja nie pozwala ludziom utrzymywać tylko tych bibliotek, które im się podobają? Płaciliby wtedy tylko za to, co przypadłoby im do gustu.
- Ale w takim wypadku mojej córki nie byłoby stać na korzystanie z biblioteki — wyjaśnił klęczący mężczyzna. Odwinął i podał córce czerwono—białego batona.
- Chwileczkę, mój panie — staruszka obrzuciła batonik pełnym dezaprobaty spojrzeniem. — Czy pokarm dla umysłu córki nie jest równie ważny jak pokarm dla jej ciała?
- O co pani chodzi? — spytał mężczyzna, z lekkim niepokojem patrząc na swoją pociechę. Dziewczynka zdążyła już pobrudzić czekoladą całą sukienkę.
- Dawno temu istniało mnóstwo bibliotek subskrypcyjnych — zaczęła z zadumą staruszka. — Ludzie wybierali którąś z nich i łożyli tylko na jej utrzymanie. Co roku uiszczali symboliczne opłaty. Nikt nie narzekał, gdyż opłacał tylko taką, którą chciał. Biblioteki wręcz zabiegały o czytelników, starając się mieć jak najlepszy księgozbiór i personel, możliwie najdogodniejsze miejsca i godziny otwarcia. Niektóre organizowały nawet obwoźne wypożyczalnie. Gdy płaciło się za to, co się chciało, członkostwo w takiej bibliotece było cenione wysoko.